



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

Potęga i zadanie wychowania.

POGADANKI PEDAGOGICZNA

przez

Janinę S. Aleksotę.

V.

Typ nasz pierwszy należał do bardzo szczęśliwych od natury uposażonych, łatwych w prowadzeniu a przytem do dających się uchwycić za dobroć i miękkość serca. Tej ostatniej wszakże zalety nie należy zbyt wyzyskiwać, ażeby nie przerodziła się w chorobliwy sentymentalizm i nadmierność uczuć. Głowa z sercem musi iść w parze i w zgodzie, wspierać się muszą nawzajem: gdzie głowa jasna, a serce gorące, tam wedle zdania jednego z mówców-filozofów, mogą one harmonijnie, zatem doskonale i bez wszelkiego zarzutu działać. Jeśli którekolwiek zbytnią zdobędzie przewagę, uczyni z typu, powyżej opisanego dziecka, człowieka zimnego, spekulanta—lub przeciwnie: słamazarnego niedołęgi; lepaka, z całym arsenałem sztuczek i sprytu, nie gardzącego żadnymi środkami dla raz wytkniętego celu—lub w przeciwieństwie do tego, może się z fatalnej przewagi wyrobić jakaś czułościowa, nigdy niezdeterminowana niekonsekwentna stale gąbka moralna, nasiąkająca łatwo każdym wpływem, a pod temi różnorodnymi wpływami, jakie w około rozsypuje życie, zatracą się w zupełności wszelka wybitność i odrębność, a zatem indywidualizm. Słusznie decyduje w tej kwestyi nieharmonijnego rozwoju władz umysłu i serca, Wiktor Hugo, twierdząc, że „kto

chce być tylko samą głową, jest równie potworem, jak ten któryby chciałby być tylko samem sercem.“ W ogóle pracy wychowawczej powinien towarzyszyć spokój, rozum, wielki rozsądek w postępowaniu, powaga naturalna, nie wykluczająca jednakże swobody okazania zadowolenia z wychowanka, gdyż wtedy mogłaby się wytworzyć obluda—a obok tej dodatkowej powagi konieczną jest ta pewność postępowania, jaką daje jasno wytknięty cel wychowawczy. To rzecz nieodzowna, gdyż inaczej podstawy pracy wychowawczej są kruche, a niekonsekwencja wychowawcy psuje niejeden piękny owoc usiłowań, jakiego słusznie spodziewaćby się należało, gdyby wychowanie szło racjonalnym trybem. Cel jasny—to jak słońce, które wszystką pracę, krok każdy, akt działalności każdej blaskiem swym rozświeca.

I może właśnie najwięcej czasy dzisiejsze grzeszą tym brakiem jasnego określenia i wytknięcia sobie celów. A wtedy staje się życie mdłe, puste, bez treści, bez zadowolenia, jakiego ostatecznie zdrowe pojęcia domagać się oden mogą. Życie lub działanie bez celu, to jak maszyna bez kół, która należycie funkcyonować nie może: coś tam się w niej jako tako się porusza, ale ruch ten jest bez użytku; życie bez celu, to organizm bez głowy, a zatem martwy. Dzisiejsze spleen, przesyt, chwytnie się raz tego, raz owego i zniechęcanie się łatwe do wszystkiego, pochodzi właśnie z owego niezrozumienia tej niezbitnej prawdy, że życiu wytknąć trzeba cel pośredni, ażeby mieć zdolność osiągnięcia ogólnoludzkiego celu. Dlatego niezapomnianemi nigdy pozostaną słowa nieodżałowanego poety Stanisława Grudzińskiego, który jak lekarz dzisiejszych chorobliwych pesymizmów powiada: „A jednak życie to nie jest czarna kartą. I są w niem takie jasne chwile, dla których lata cierpieć warto—a wreszcie i takie są talizmany, dla których żyć i umrzeć warto. Wtedy czuje się szczęście mło-

dości i pełnię życia. „A młodość tę i szczęście młode zachować można, aż do końca i wieczną w życiu mieć pogodę i wieczny lot, ów lot do słońca.“

Ale jak do tego dojść? jakim sposobem to można uzyskać? Poeta, jako lekarz społeczny i to dobry lekarz radzi i wskazuje, a podaje nie jakieś paliatywy chwilowo uśmierzające zło, lecz radykalne lekarstwo. Oto ta jego recepta:

„Lecz trzeba w życiu mieć koniecznie

„Cel wielki, święty, ukochany,

„Coby rozpraszał nam słonecznie

„Żywota chmury i tumany.“

„A gdzież ten cel i co go stworzy?

„Miłości moc i wiary siła—

„W niej tajemnica władzy Bożej,

„Która z niczego świat stworzyła.“

Tak się mają rzeczy z życiem całem, jego usiłowaniami, taksamo i z wychowawczą pracą. Powracając do rozpatrywania pewnych naturalnych uosobień, uposażeń, uzdolnień przedstawimy typ inny dziecka.

Weźmy na przykład taki: Dzieciak słabowity z natury, dosyć delikatny i wątpliwy, pod względem temperamentu ma zakrój na flegmatyka lub melancholika.

Temperament nieskrystalizowany jasno, gdyż niepodobna orzec, czy też nie leży źródło w słabiznie fizycznej i czystem niedomaganiu. Takie dziecko, przedewszystkiem z największą pieczołowitością wychowywać należy pod względem fizycznym. Ruch, powietrze, odżywianie staranne zachowanie wszelkich warunków higienicznych w ogóle i wskazówek lekarskich w szczególności; to są nieodzowne dane tego wychowania fizycznego. Przedewszystkiem dać się tej wątłej latorośli rozwinąć, wzmocnić, wyzdrowieć, a potem dopiero myśleć o dalszem działaniu, więc o kształceniu umysłu.

Nieuwzględnianie takiego stanu wątpliwości i nie-domagania dziecka, a kształcenie go na gwałt, jakby pod obuchem pędzącego z szybkością strzały czasu jest błędem nie do darowania ze strony wychowawcy, częstokroć i unieszczęśliwieniem dziecka lub nawet powolnym pozbawianiem go życia. Zdrowie to warunek kardynalny szczęścia. Bez niego wszystko inne nie ma znaczenia. Naturalnie, że jeśli nam tak bardzo zależy na fizycznym zdrowiu wychowanka, to nie mniej chodzi nam o zdrowie duszy, ale czyż ta dusza nie czuje się zgniecioną, chorą, przygniecioną, nieszczęśliwą, gdy ciało swemu nie może nakazać żadnego trudu, żadnej pracy, żadnego przedsięwzięcia, bo ono go nie będzie w stanie wykonać? Czyż nie będzie się do niej wkradało wielkie rozgoryczenie do życia? Czyż nie będzie się wsączać kropla po kropli rozżalenie na świat cały i zazdrość w obec tych, którzy z pełnią sił rzucają się w wir świata, wielkich usiłowań lub prac powszednich? Ażeby nie doprowadzić do takiego stanu wiecznego niezadowolenia, goryczy i charłactwa, należy, skoro się spostrzeże potrzebę tego leczyć, strzedz i pielęgnować ciało. Dopiero, gdy się dzieciaki skrzepią fizycznie, można swobodnie pomyśleć o jakiejś nauce dla niego, ale ostrożnie, ale rozsądnie bez przeciążania, z pewnym praktycznym i doświadczonym wypróbowanym systemem, któryby naukę uczynił łatwiejszą, lżejszą i jak najprzystępniejszą. Mylne jednakże byłoby pojęcie wyrażonej tu potrzeby pielęgnowania dzieciaka pod względem fizycznego wychowania w taki sposób, by na wszystkie jego zachcenia i kaprysy pozwalać. To bowiem do zdrowia wcale nie prowadzi. Gdzie wybujałe zachcianki mnożą się i rosną jak na drożdżach, tam choruje dusza, wypacza się charakter, wygórowywał egoizm i dominować poczynają ponad wszelkimi poruszeniami serca i umysłu. Egoizm wtedy panem rządzącym i rozporządzającym czynnościami i postępami. Jakież wówczas okropne są te postępy i do czego prowadzą?! Egoizm nie zna granicy grzechu, granicy złego, bo jest dla swego „ja“ najpobłażliwszy i usprawiedliwia na korzyść tego miłego sobie „ja“ wszystko.

Ze wszystkich wad, on jeden jest najfatalniejszy, bo stał się ich wszystkich podstawą i podkładem. Dlatego to walka z egoizmem jest dla wychowawcy ważnym zadaniem i nad objawami jego, nie wolno wychowawcy przejść do porządku dziennego nigdy. Nie twierdzimy, że w obec chorowitego dziecka należy być takim, jak w obec zdrowego, ale też niepodobna bezwzględnie polecić metody pobłażania. Rozumie się samo przez się, że w obec nerwowego, niedokrewnego, zmierzwanego dzieciaka niepodobna zachować się z surowością i nieublağaną konsekwencją, owszem, czasem trzeba, jak się to mówi utartem wyrażeniem trochę „spuścić z tonu“, zastosować metodę wyrozumiałości i pobłażania, gdzie tego konieczna wymaga potrzeba i pewne fizyczne względy. Rzecz tu powyżej wyłożoną postaramy się objaśnić na przykładzie.

Oto: chorowity dzieciak kaprysi przy stole, rosółu nie chce, bo nie lubi, mięso także mu nie smakuje, ale za to słodkiej leguminy zjadłby ze trzy ćwierci półmiska. Czyż dogadzanie tej zachcianki byłoby na miejscu, skoro wyraźnie wskazaniem jest jedzenie posilającego rosółu i pieczonego czy smażonego mięsa, od jedzenia którego dzieciak tak się uporeczywie uchyla. Albo weźmy inny wypadek: dzieciak upiera się wiele czytać, gdy tymczasem widzimy, że czytanie rozognia jego wyobraźnię, wywołuje sen niespokojny, szkodzi w ogólności zdrowiu nadwątlonemu. Czyż w obec tego podobna pozwolić na łakome polykanie książek, zwłaszcza tych, których się nasz wychowanek tak bardzo napiera: o dzikich plemionach Afryki, czy Ameryki, o sensacyjnych walkach białych z czerwonoskórcami i t. d.

W obec takiego wychowanka musi wychowawca zachować wiele taktu, rozsądku, zimnej krwi i zarazem tej prawdziwej dobroci serca, która uszlachetniająco samym przykładem swym wpływa na młodzież. Szylera „Pieśń o dwo-

nie“—zawiera wyborny pogląd na życie od kolebki człowieka, aż do mogiły. Myśliciel ten znakomity umiał w treść swej nieśmiertelnej „Pieśni“ wpleść cały kodeks czy regulamin wychowawczy, a najdoskonalszym tego regulaminu wyrazem jest zdanie: „Gdzie się surowość łączy z czułością, gdzie siła z łagodnością, tam się tworzy dobry dźwięk.“

I w istocie takie zjednoczenie daje upragnioną harmonię, a już najbardziej i najdoskonalej tworzy się owa harmonia w powyższych warunkach w działaniu wychowawczym. Nie znaczy to ażebyśmy wymienionemu typowi, wątłego dzieciaka, mieli pozwalać na jakieś ekscesy i jakiegokolwiek wybryki tolerować, dlatego, że chore, jak się to czasem najzgubniej dla przyszłości praktykuje—bynajmniej: gdzie trzeba z surowością wystąpić, tam niech ona będzie, gdzie można łagodnością pewne wady rugować, tam niechaj działa łagodność.

Lekarz niechaj da wskazówki jak pielęgnować zdrowie naszego wychowanka, jak w danych wypadkach postępować,—a wychowanie stosując się do tych wskazówek iść będzie trybem należyty, nie pozwalając na wzrastanie takich wad jak upór, dokuczliwość, nieposłuszeństwo, zuchwalstwo, rozgrymaszanie się i przejęcie się tem przekonaniem, że dziecku wszystko „wolno“—bo „chore.“ Te właśnie spaczne pojęcia i te wady niejednokrotnie spotykaliśmy w dzieci w rekonwalescencji, chociaż poprzednio przed daną chorobą wad tych nie było, a przynajmniej nie dawały się zauważyć, więc chyba tylko istniał sam ich zaród lub inklinacja do nich albo zostały metodą kuracyjną mimochodem nabyte. A przecież wpływ dobry na dziecko wątpliwe czy chore nie ma ustawać i wychowanie odłogi nie leży nie może wówczas; metoda tylko będzie inną, a wychowanie to samo; powolniej tylko będzie się działać, łagodniej i czasem z pewnymi ustępstwami ze strony wychowawcy.

VI.

Samuel Smiles w dziele swem p. t. „Charakter“ opowiada, że życie w znacznej części bywa tem, czem je robimy. Wesół człowiek tworzy sobie świat wesół, smutny przedstawia go sobie smutnym. W odniesieniu zaś tego zdania do cech temperamentu znajdziemy najzupełniejszą jego racjonalność. Doświadczeniem łatwo da się stwierdzić, że sangwinicy mają przeważnie uczucia przyjemne, najpierw już dlatego, że u nich, w ogóle jeden stan nie trwa długo, zatem nieprzyjemne uczucia są nietrwałe, a przyjemne tem są przyjemniejsze, że następują po nieprzyjemnych, ztąd obrazowo mówi się o nich znanym przysłowiem „po słocie pogoda.“ Przeciwnie zaś u melancholików, u których skłonność do uczuć nieprzyjemnych jest wybitną, a ponieważ one długo trwają, więc ich czynią zgorzkniałymi, stetryczalymi, nieznosnymi dla innych i dla siebie samych.

Czasy dzisiejsze, na szali których dużo nazbierało się melancholii i pesymizmu, wymagają koniecznie, by wychowaniu nadać kierunek zdrowy, trzeźwiejszy. Romantyzm zawracał głowy i upajał, fantazję rozbijał poza linią demarkacyjną tak przynajmniej powiadają dzisiejsi materialści i pesymiści,—ale czyż zaprzeczają, że ich racjonalizmy, naturalizmy, realizmy i wszystkie gorzko—i kwaso-izmy są prawdziwą trucizną, przetwarzającą duszę zdrową na jakąś mgławicę, zaćmiewającą sobą wszystko i wszystkich do niej się zbliżających, a składniki tej nowoczesnej mgławicy noszą następujące miano: sceptycyzm, pesymizm, analizowanie wszystkiego aż do cna, przestetyzowanie, łatwość przerzucania się z jednej ostateczności w drugą i skłonność do przywdziewania bardzo czarnych okularów.

Cóż dziwnego, że istota o takiej duszy gryzie wszystkich w około, ale nie wedle Słowackiego sercem, tylko ostremi zębami tej piły, jaką w duszy jej wykuły chore teorie, chora fantazja, chora wola—a w końcu na wzór tajemniczych

radziwiłłowskich myszy zagryza sama siebie. Zagłębiając się w to życie, pytamy o niezbadane i niedocieczone, gonimy za niedoścignionymi i strudzeni, wyczerpani padamy pośród ciemności bez róż i bez wawrzynu. Życie przedstawia nam się tak okropne, takie straszne, takie beztosne, głównie dlatego, że słabiuchnej woli naszej nie nakłoniono do słuchania rozkazów rozumu, zgodnego o ile się da z głosem serca, a wyobraźni naszej nie nauczono chodzić w kierunku rozsądku i zgody z koniecznością i z rzeczywistością.

Jesteśmy nieoswojeni z tem, że na gościńcu wiodącym nas do wiecznego bytu, leżą głazy, o które nietrudno roztrzaskać głowę, mimo iż na to tak często patrzymy i mimo, że to takie powszednie. Tak, powszednie, dla wszystkich innych, ale dla siebie zawsze i niepoprawnie chcemy czegoś innego. Jesteśmy więc pomimo całej cywilizacji dzicy, gdyż nie chcemy iść tym gościńcem z właściwym, a pełnym godności ludzkiej spokojem i przedświadczeniem, że każdy z nas odpowiedzialny jest jedynie za to, jak szedł a nie za to, czy przeszedł gościńcem do końca.

„Bo choć dla czynów tu krótko nas,

„Czas wszystko robi, bo ma czas.“

powiada Kazimierz Brodziński, wzór tej spokojnej i ufnej w uczciwe owoce pracy. Jakkolwiek zawile i niedocieczone byłyby tajemnice bytu, jedno wiedzieć należy, że morze w malutki daleki piaskowy nie da się przelać dłonią, bo racze nas samych morze niespokojnych i niecierpliwych dociekań pochłonie. A wtedy co w tym oceanie będzie z naszym kapitałem duchowym?

Znowu w pomoc w dalszem przekonywaniu przyzwijemy zdanie Smilesa, pełne prostoty a niezmiernie prawdziwe, streszczające bieg usiłowań życiowych. Oto nawołuje on w dysertacji swej o charakterze: „Odziej się w cnotę, staraj się o przyjaciela i o chleb powszedni. Jeśli z nieskazitelną czcią dożyjesz swego wlosa, wtedy dziękuj za to Bogu i umieraj.“

Ale na ten spokój życiowy, na tę pewność działania i prawosć postępowania, zapracować musi wychowanie, jako podwalina i najprawniejszy fundament przyszłości. Dajcie wychowankowi wolę silną, nie rozwijajcie jednych władz umysłowych kosztem drugich, lecz pozwólcie harmonijnie wzrastać i kształcić się wszystkim siłom i zdolnościom wychowanka, pozwólcie mu być samodzielnym bez lekkomyślności, karćcie go stosownie do jego przyrodzonych właściwości, nie nadużywajcie potęgi słowa, bo moralizowanie samo nikogo nie naprawi, mówcie doń wyrazami własnego przykładu, a wychowanie wasze wyda owoce błogosławione i da światu człowieka, który zrozumie, że prawdziwie żyć, to znaczy działać rozumnie, energicznie i być w najszerszem tego słowa znaczeniu: szlachetnym. Tę szlachetność to wyżywa jedynie moralnej dumy, która nie pozwala zniżać się do poziomu głupstwa lub brudu, nie dozwala też raz wzniosłszy się na wyższy stopień duchowej doskonałości schodzić na niższy, któryśmy już dawno zostawili poza sobą.

Taki bowiem postęp moralny jest rzetelnym postępem, bez śladu jakiegokolwiek cofania się lub zastój; jeden cień cofnięcia się lub krok zejścia ze stopnia wyższego, jest już początkiem słabizny moralnej i duchowej, z przerażającą szybkością podkopującej wartość człowieka. Pracujcie nad wychowaniem tak, by miał charakter, a nie jak się to dziś często spotyka w miejsce tego najcenniejszego w życiu klejnotu, kłęb nerwów lub ruchliwej fantazji; ale na to wychowanie musi umiejętnie pracować i usilnie się starać wyrobić spokój umysłu u wychowanka w każdej sprawie. Spokój bowiem taki, to najprzyjaźniejszy towarzysz wszelkiej czynności, która nie ma zmarieć, lecz przynieść światu zdrowe owoce. Nie ma się co dziwić, że dr. Chalmers niebo wyobraża sobie nie jako miejsce, ale jako spokój ducha. Dajcie częstochę tego nieba wychowankowi, nauczcie go posiadać ją trwale, a dacie mu szczęście, obok którego

wszelka rozkosz inna jest tylko złudą, wszelka szczęśliwość pozorem a gonitwa za nią niepotrzebnym wysiłkiem, wyczerpującym i próżnym trudem przepalaniem głowy i serca, łamaniem skrzydeł bez których człowiek jest niezupełną istotą zmuszoną do pełzania, zamiast spokojnego kroczenia z miarowym ruchem skrzydeł.

VITA NOVA

przez

A. LANGE.

I.

Coraz nędzniejszy przed twym majestatem
Czuje się duch mój wyrzutem skalany;
Coraz ciemniejszych błędę nizin światem,
Im bardziej w gloryi widzę cię świetlanej.

Coraz nędzniejszy przed twym majestatem
Kłękam przed tobą wciąż w głębszej pokorze;
Im więcej tobem i sobie był katem,
Tem więcej rażą mnie twe blaski boże.

Czuje się duch mój wyrzutem skalany,
Chociaż zbyt późną przygnębiony skruchą,
Że jakieś dzikich obłędów orkany —
W chaos i pustkę rzuciły mnie głuchą.

Coraz ciemniejszych błędę nizin światem
I drzę—za górnym twoim lecąc szlakiem:
Przed twem widzeniem nadziemsko skrzydlatem
Coraz się bardziej odczuwam robakiem.

Im bardziej w gloryi widzę cię świetlanej,
Tem szkarłatniejszym palę się rumieńcem,
Że swej bogini bluźnił opętany
Ten co był zawsze i będzie twym jeńcem.

II.

Były godziny, że jad nienawiści
Piekło goryczy i zwątpienia szalały,
Paliły serce moje płomienisciej,
Niżli mu uczuć świeciły kryształ.

Więc rozżalony wybrałem sieroctwo,
Rozpaczy trunkiem dziwnie upojony
I straszne sobie roiłem prorocstwo,
Że tak odzyskam spokój utracony.

Spaliłem wszystkie po za sobą mosty,
Zdeptałem wszystko, co z przeszłością wiąże
I szedłem dumny, że taki szlak prosty
Wiedzie mnie w otchłań, do której sam dążę.

Lecz mi nie wrócił spokój utracony
I obłąkany szedłem w dal sierocą,
A wszystkie gaje mi, wszystkie zagony
Szeptaly imię twoje dniem i nocą.

III.

Ty wszystkie cuda mogłaś robić ze mną:
Mogłaś mię porwać w najwyższe błękity
Mogłaś mię wtrącić w otchłań mroku ciemną
Zgnieść w proch—i serce umocnić w granity.

Ty mogłaś moją istotę rozszerzać,
Że czułem w sobie bezmiarów królestwo;
Ty mogłaś we mnie jako grom uderzać,
Żem czuł się mniejszy niż samo nicestwo.

Bo taka była twa nademną władza,
Że moje pulsa były twojem tętnem;
Że twoja wola w moją się przeradza,
Że własne życie jest mi niepamiętnem,

Nie własnem życiem żyłem ale twojem —
Twą duszą żyłem i twoją osobą —
I w końcu dziwnym dwojga serc przestrojem
Straciłem siebie—przestałem być sobą.

Wszystkiem mi byłaś: ołtarzem i panią
I siostrą moją jedyną — wybraną —
Byłaś mi natchnień bezdenną otchłanią,
Zkąd mogłem czerpać pieśni niewyczerpaną.

Byłaś mi okiem, którem spoglądałem
W przemijające mgły rzeczywistości;
Byłaś mi uchem, przez które słuchałem
Smerów płynących od nieskończoności.

Od twego smutku płynie ku mnie fala
Wielkiej tklivosti i wielkiej tęsknoty:
W której się miłość wszechistot rozpala,
Jakby się w tobie streściły istoty.

Z twego uśmiechu płynie ku mnie zorza
Światła radosnych i złotych promieni;
Co moje wszystkie rozświeca bezdroża,
Że pewny szedłbym śród erebu cieni.

Dziwna to sprawa tak zatracić siebie:
Być jakąś nicią spletanym tajemną
Z duszą, co mieszka w niewiadomym niebie!
Ty wszystkie cuda mogłaś robić zemną!

IV.

Zdawnam przeczuwał, że napotkam ciebie,
Że taką będziesz, jak cię w snach widziałem:
Gdzie? nie wiem! może w tem nieznanym niebie,
Gdzieś była, zanim oblekłaś się ciałem.

Ja znałem ciebie, nim oko cielesne
Dojrzało ciebie... Szukałem cię wszędy,
Wpatrzony w jutro ludzkości bezkraisne,
Wysłuchany w złote dawnych lat legendy.

Ja miałem rozkaz dany mi z wysoka
Szukać cię w każdej postaci niewieściej —
I w każdym oku szukać twego oka,
W każdym uśmiechu twych uśmiechów treści.

Choć nieraz kobiet całowałem nogi,
Choć nieraz skroń mi pieściła kobieta,
Choć nieraz złudą mamili mię bogi:
Ja przebudzony wołałem: nie, nie ta!

Zawsze pomiędzy mną i tą istotą,
Co mi na łożo pieścizotliwie padła
Był niewidomy przedział, cień... Ty oto
W magnetycznego postaci widziadła.

A kiedym odszedł na pustynie mroku
Twych ust i oczu twych nienasycony:
Choć mi w niejednym raj promieniał oku,
Zawsze-m był—zda się—w lody skryształony.

Nieraz na przekór tajemniczym głosom
Mówiłem: padnę do kolan dziewczęcia,
Modlitwy śpiewać będę jej niebiosom,
Żal swój ukoję ciepłem jej objęcia.

Przeklnę widziadło, co mię jako zmora
Dusi bez końca... I w gorzkiej spowiedzi
Powiem jej wszystko... Pewnego wieczora
Wyznałem miłość... Lecz był to brzęk miedzi.

Pamiętam dziewczę jedno takie świeże
Jak biała lilja albo wiosny ranek,
Której-by życie mógł złożyć w ofierze
Przeanielony czarem jej kochanek.

Tej ja mówiłem z żalem i goryczą,
Jak strasznem życie moje poszło kołem:
I, nienawiścią płonąc tajemniczą,
Jej przysięgałem, ciebie przy niej kłamię.

A wtedy ona—jakby tuż przy sobie,
Jakiegoś cienia czuła grozę świętą,
Wołała do mnie w bolesnej żalobie:
„Ty nie mnie kochasz, ale tę wyklętą!”

V.

Czy sądzisz, że ten, który zmartwychwstaje
Odrazu pójdzie zgalwanizowany?
On długo patrzy na umarłych kraje,
Długo w nim jeszcze gadają kurhany.

W zdumieniu widzi te zielone gaje,
W zdumieniu widzi te szumiące łany:
Wzrok jego zwolna żywy świat poznaje,
Duch oślepiiony kroczy jak pijany.

Może go razi jutrznia purpurowa,
Może on tęskni do swojej mogiły,
Gdzie już od cierpień nie pękają żyły,
Gdzie żadna uczta nie zabrzmi godowa.
Lecz kogo bóstwo chce wskresić ten wskreszenie,
Choćby chciał wrócić w swe mogilne cieśnie.

(Dokończenie nastąpi).

OSTATNIA PROŚBA.

(Z cyklu „Łzy i uśmiechy“).

Stał przed kościołem starowina, jakiś nie swój,
markotny. Owiązana chustą głowa, chwiała mu
się bezsilna, brodę wiatr rozwiał, czoło położyło
na mrozie, a śnieg pokrywał wyszarzaną odzież.
Blade, stroskane oczy, z żalem patrzyły przed
siebie, a postać cała, chuda, koścista, chwiejna,
wyglądała jak uosobienie nędzy, zimy, śmierci...

— No, i cóż tak stoicie tutaj? nie idziecie do
środku, na sumę?—pytała go stara żebraczka.

— A, co mi tam! moja robota skończona!

— To już naprawdę nie będziecie przy mie-
chach?

— U! co mi ta za miechy! Dobrodziej or-
gan odnowić kazali, piszczałki nowe, miechy
nowe, wszystko nowe, niechta se nowego wez-
mom, co miechy obracać będzie na nowy ten
sposób. Ja tam nie umiem teraz.

— A to czemu?

— Bo inakże!

— A jakież to one som?

— Ba! nowomodne! Jegomość powiadają, co
lepsze, łatwiej kręcić, przyklekać nie trzeba, ot!

— No, i czegoż wy nie chcieli dalej?

— Co to gadać! Ja się, panie, przyzwyczaił
do tamtych... lat czterdzieści, to nie żarty! ja-
ko je tłoczył nogami i kolanami, to była pra-
ca, ciężka, ha! ale mi szło, bom miechy znał,
a one mnie znały! nowiutkie były, gdy przy
nich stanął, człek młody; innej roboty nie było,
chwyciłem się tego, no, i żal było puścić gdy

się siły już ku temu nagięły. Pięciu proboszczów przeżyły ze mną razem i piętnastu organistów, to nie bagatela! Ja je włożyłem do roboty, ja je wychowałem, to moje dzieci są, i koniec! A tu, panie, nowość, obca rzecz, takie to nieznane dla mnie, cudze! ruszaj sobie letko korba, fig-mig, i już! Stojący robić se można, a mnie się już plecy zgęły do tamtych tak akurat ile potrzeba; przycisnę—one pięknie oddychają, puszcze im powietrza w płuca, to choćby organista nie nie umiał, to przecie piszczałki się dra, panie, aż miło, a w kościele, ludzie aż głowy do chóru podnoszą, co to za pieśń taka huczy nad nimi! Wszystko to moje te kochane miechy robiły...

— Aleć przecie teraz organ lepiej ma grać? tamte ponoś skrzypiały jak utrapienie!

— Milcz babo! znasz ty się na tem! Hm? Jak śmiesz gadać? Proszę! Jaka mi muzykantka! Żebraczka z kruchty będzie mnie tu uczyła co się na chórze dzieje! Nowe miechy—do niczego, i ja ich nie tknę! Tak jest! Dobrodziej, daj mu Boże zdrowie, ale tak organ odnowił, że piszczałka jedna nie jęknie, nie zgrzytnie, jeno se śpiewa jak dziewczyna cieniutko, czyściutko, pięknie, kiedy nęci chłopca przez okno; dawniej, to nie tak bywało. W Post Wielki, na Pasyę, jak organ zaczął dudnić, syczeć, hrobotać, dreszcz człeka przejmował, mrowie szło, jak przystoi na taki czas... Teraz, Boże odpuść, słodko śpiewa, gładko, ani tam żalu, ani skruczy w tem, aż modlić się trudno. Ja to nie wiem co lepsze... Dziadom, ojcom, te miechy starczyły, a dzieci, wnuki, już ich słuchać nie chcom! jam myślał, że mój ostatni dech w nie puszcze, a tu z resztą siły odejść, panie, muszę od fachu swójego!

— Ej, dziadu, jeszcze zostaniecie; onych słuchać nie chcą ludzie, bo się zestarzały jak i my, zepsuły się i piszczały, nie dziwota!

— Cicho wiedźmo! nie wtrącaj nosa w nie swoje sztuki! Nowatorka! patrzcie ja! A gdzież to lepsze miechy widział? co? piszczały, mówisz? Ale! Wyborne se jeszcze były, mogły trwać i basta... Ho, ho! jak ja je znał! Latem, to się inaczej ciśło, zimą inaczej... Na „Święty Boże“ to ja dwoma kolanami przyklękał, żeby szło przez cały kościół, a na Pasterkę, to le dwiem im puścił powietrza, byle dyszały jak jakie niemowle. Znałszy się, zrosli, zżyli... a jak wyrzucili... no, to razem!

— Kto was tam chciał wyrzucać. Proboszcz po was trzy razy posyłał, a wy ni, i ni!

— Ha... bo już ni! Ja był do starego gratu... już ja się do nowej rzeczy nie nałożę, bom przy starej skostniał i z nią mi ustąpić...

Tak wyrzekał w kruchcie starowina, kiwał zgrzybiałą głową, i po sumie, otrzepawszy ze śniegu swe łachmany, ruszył na plebanie.

— Dobrodziej...

— A co tam powiecie? opuściliście i mnie i organ, to pięknie tak? co?

— Oj, jegomościu, ja dopiero dziś się spostrzegł, jaki ja stary... nie przyczepić mnie do nowego...

— Co gadasz, bracie, wszak to właśnie teraz łatwo i wygodnie, pompuje się powietrze jak wodę, bez oporu, jakby dla was się ulżyło!

— Gdzietam, dobrodzieju, ja tu dziś z ostatnią prośbą...

— Cóż znowu, a czegoż chcecie?

— Z ostatnią, panie, prośbą...— I zawahał się, dziad, patrzył w księdza błagalnie, i usta mu drżały, trwożył się, czy ostatnie jego na ziemi marzenie nie będzie zdruzgotanem.

— Mów śmiało, człecz, wszak znamy się od wieka!

— Żeby mi też jegomość, z łaski swojej... darowali... te... te stare miechy... tyłem się koło nich nachodził, nadreptał... nadyszał, napocił latem, namarzył zimą, te drewna to tak jak cząsteczka mnie samego...

— Ależ dobrze, bierz bracie, lecz co tobie z nich przyjdzie, nikt za to trzech groszy nie da.

— Oh, dobrodzieju, jabym ich za skarby świata nie sprzedał!

— A cóż z nimi zrobisz?

— Każę sobie z nich... trumnę zrobić... tak! deski dobre, a skórą się wyściele... dobrze mi będzie spać... nabrały się one w siebie powietrza, no! to mi w grobie lżej będzie.

Proboszcz, staruszek także, uważnem okiem patrzył się w dziada i z niepokojem śledził bardzo głębokie wzruszenie na jego żółtej twarzy; wydało mu się, że starowina zgrzybiał od kilku dni ogromnie.

— Weź, bracie, miechy, kiedy ci takie miłe, ale cóż tam o trumnie myśleć masz, jeszcze czas na to.

— Nie mam ja już czasu, dobrodzieju,—rzekł niecierpliwie stary, jakby mu kto plany krzyżował.

— I cóż będziecie teraz robili?

— Ot, dobrodzieju miejsca pod kościołem nie wzbroniam... na krótko to już...

— Już jabym cię wolał widzieć jak dotąd na chórze.

— To się skończyło... nie wróci...—I pożegnał się dziad spiesźnie, wyszedł, zabrał leżące na kościelnym dziedzińcu miechy i zaniósł je wprost do stolarza.

— Aby prędko!—przykazał.

W dni kilka robota była gotowa. Starowina sam przyniósł sobie trumnę na „Dziadówkę“ to jest do domku gdzie się mieści niższa służba kościelna i nędzarze z miasteczka. W miesiąc potem, jednej nocy, śpiąc, zastygł samotnie w tej trumnie, w której go też pochowano. Miał podobno około stu lat, trzymał się czas długi rutyną jednostajnego zajęcia, zrosnięty biernie z ciężką a niewidzialną pracą, miechy od organu oderwano, i w jego też organizmie zabrakło żywotnego oddechu.

Starzec nie przetrwał wrażenia wielkiej zmiany i uległ temu prawu ruiny, która długo trzyma się ludzko dobrze, aż naraz rozpada się w proch, byle czem popchnięta.

Przedza uczuć potężnie wiąże człowieka do ziemi; niteczki rwą się jedna za drugą, lecz ostatnia, najcieńsza, najdrobniejsza nawet, czarem jakiegoś przywiązania wyjątkowego podtrzymuje siły; a gdy czas i tę szarpnie, włókienko pęka i ulatuje duch...

Organ w kościele pięknie teraz dźwięczy, nie słyhać żadnych syków, chrapania, ani łoskotu; a jednak, ile razy wzrok mi padnie ku ciemnemu, gotyckiemu chórowi, brak tam jakoś tej szarej, cierpliwiej, schylonej postaci, która od lat tytuł, przyklękając drżącymi kolanami, wlewała w piersi organu szeroki oddech nabożnej pieśni.

Człowiek jak cień jest na tej ziemi, niewidzialny przy ciężkiej pracy, zauważony na chwilę gdy znika jako cień, i nikt go już nie zobaczy...

Szczęśna.

TEATR.

Grochowy wieniec, komedia w 4-ach aktach Antoniego Małeckiego z tańcami i śpiewami i **Towarzysz pancerny**, komedia w 3-ach aktach Michała Wołowskiego, nagrodzona pierwszą nagrodą na konkursie lwowskim.

Jakkolwiek sztuki, grane tylko w Teatrze Rozmaitości, (obecnie Letnim) wchodziły w zakres sprawozdań naszych, przez wzgląd jednak, że „Towarzysz Pancerny, grany w Wodewilu, ma bardzo bliskie pokrewieństwo z „Grochowym wieńcem“, albowiem jedne i te same kartki z nieśmiertelnych „Pamiętników“ Paska, dały obu autorom pomysł do napisania komedii historycznej—musieliśmy zająć i do Teatryku ogródkowego, by zestawieć z sobą dwa te utwory i sąd o nich wydać z całą sumiennością bezstronnego krytyka. Bezstronność jednak zastosowana do tych dwóch dzieł, do których treść zaczerpnięta została z dziejów przeszłości naszej—dość jest trudną, albowiem spokojnej rozważać w poprzek staje—uczucie. Postaramy się je-

dnak zostawić je na uboczu i w ocenieniu sztuk wykazanych w nagłówku, kierować się tylko zimną rozważą krytyka.

Pamiętamy, dość odległe już, czasy, w których myśl o napisaniu *komedii historycznej*, była równo- znaczna z popełnieniem jakiegoś głupstwa. Dla ośmieszenia jej, wystąpił nawet ongi, przed trzydziestu kilku laty, niejaki Paweł z Bzikowa z historyczną komedią *sui generis*.

Lecz większy Pan Bóg niż Pan Rymsza.

Powoli ludzie zaczęli przechodzić do przekonania, że dzieje narodu, w najobszerniejszym rozumieniu tego wyrazu, nie składają się tylko z bohaterkich czynów, wielkich tryumfów i wielkich upadków, mogących służyć za treść do dramatu lub tragedii, lecz, że i życie domowe danego narodu, braterskie i sąsiedzkie stosunki, wierzenia i obyczaje pewnych grup społecznych—wchodzą do tego życia i dopiero całokształt jego stanowią. Wspaniałe jest niebo piorunami pokryte z wieniec chmur, w których grom warczy, lecz piękne są i błękity rozjaśnione, promienie słońca i uśmiech pogody. Jeżeli one mają rację bytu, ma rację bytu na równi z dramatem i komedią historyczna.—Treści nie zbraknie: pogodne czasy Zygmunta Augusta z Rzeczpospolitą Babińską, jako też i wojenne czasy Stefana Czarnieckiego ze zrosłą z niemi postacią Imię Pana Jana Chryzostoma Paska—doskonale nadają się do tego rodzaju utworów.

Jednym (zdaje nam się) z pierwszych, który u nas podjął się napisania komedii historycznej, był Franciszek Wężyk. Komedia nosiła tytuł: „I ja też albo Rzeczpospolita Babińska“ lecz, że to pierwszy dopiero był krok postawiony na nieuprawnej dotąd roli,—a zresztą sztuka dramatyczna nie kwitła w onych czasach—utwór Wężyka pokrył pył archiwalny i, gdybyśmy go dzisiaj na deskach teatralnych ujrzeli, nie odpowiedział by on najskromniejszemu nawet wymaganiom sztuki obecnej.

Ale zapoczątkowanie już było, nieśmiało rzucana myśl zaczęła się powoli rozwijać. Małeczki daje nam „Wieniec Grochowy“ Kraszewski przepyszną sylwetkę Radziwiłła Panie kochanku, a po dłuższym zaniedbanu orki na nowinnem polu, Michał Wołowski podjął pług zardzewiały i wyorał „Towarzysza Pancernego.“

Czy utwór Wołowskiego wzbogaca nasz dramat czy nie—czy jest dziełem prawdziwego talentu czy tylko dobrych zamiarów—to o tem słów kilka powiemy później, — teraz położymy tylko na karb wielkiej zasługi pana Michała, że przypomniał dramatopisarzom naszym o tem polu zaniedbanem, o tej niwie dziwnie pięknymi kwiatami usianej, z których umiejętna ręka barwny wieniec upleść może.

Wołowski poszedł utartym przez Małeckiego szlakiem. Zaloty Imci Pana Chryzostoma Paska, w obu utworach główny motyw stanowią. W wielu scenach nawet jest podobieństwo tak wielkie, że nie wahamy się powiedzieć, iż autor Towarzysza Pancernego nie tylko wzorował się, lecz naśladował wręcz Małeckiego w „Wieńcu Grochowym.“ Do takich scen należy scena oświadczenia Paska: Przypatrując się lepiej wybranej swojego serca widzi w niej piękności dawnych bogdanek, którym, w wojowniczym życiu swoim, na całopalenie się oddawał.—U Małeckiego tylko, zgodniej z psychologiczną prawdą, oddziaływały wspomnienia; u Wołowskiego nie grają one żadnej roli. „Towarzysz“ umizga się po kolei do każdej z trzech córek letniej już wdówki, na ostatku, smaląc koperczaki do pani matki, w niej to widzi skupione wdzięki Marysi, Basi i Jadzi. Rzecz cała w obu komediach kończy się weseliskiem *par czterech*—co potęguje podobieństwo w dwójnasób.

Dziwnym zbiegiem okoliczności, tak w „Wieńcu Grochowym“ jak i „Towarzyszu Pancernym“ akt pierwszy jest zrobiony najlepiej i najwięcej interesuje widza. Później interes słabnie, akcja nie rozwija się wcale, płynie powoli rzecz cała, a jeżeli nie nuży—to, to nie jest już zasługa autorów, lecz—chwili, w której uczuciom na jaw trochę wybiedz można.—Oba te dzieła nie mogą liczyć na nieśmiertelność, ani wypełniają też luki w niezbyt bogatym dramacie naszym. Bu-

dowa architektoniczna sztuk obu szwankuje bardzo, właściwie niema jej wcale; ubóstwo fabuły nie pozwala komedii wartkim nurtem pomykać naprzód, dla tego za dużo jest opowiadań zbyt technicznych w „Wieńcu Grochowym,” dla tego w „Towarzyszu Pancernym” powtarzają się w akcie każdym jedne i te same umizgi Pana Paska, jedna i ta sama modlitewka przed innym ołtarzykiem tylko.—Pan Pasek zalecający się do Maryni, umizgający się do Basi, podkochujący się w Jadzi, a kończący na pani matce, w akcie czwartym mógłby w babce się jeszcze zakochać. Komedia nie kończy się tak, żeby nie nie pozostawało do życzenia, wszystkie rozprysnięte nici nie zbiegły się do punktu jednego. Każdy akt zaczyna się od miłości Paska i kończy się na niej, aż trzeci i ostatni poprowadził go do ołtarza. To ubóstwo bajki nagradza szczerą uczucia, kilka momentów doskonale schwyconych z rycerskiego życia sarmatów dawnych, parę monologów rzuconych z wielką siłą, budzących w sercach słuchaczy trochę wspomnień ognistych. To są zalety komedii p. Wołowskiego, których brak w „Wieńcu Grochowym.”

Komedia Małeckiego grzeszy także ubóstwem intrygi. Ratuje ją tylko doskonała wystawa, kulig huczny, przepyszny układ szablistego poloneza i kilka wybornie oddanych typów, jak Ołtarzewskiego, (Frenkiel) Łukasza Komorowskiego, wojskiego i podstarościego nowomiejskiego (Leszczyński) i Onufrego Kardowskiego (Wojdałowicz).

Do dworu państwa Jędrzejowstwa Remiszowskich dziedziców Olszówki, przyjeżdża p. Pasek, brat żony pana Jędrzeja z przyjacielem swoim, a także, jak i sam, towarzyszem pancernym imcipanem Franciszkiem Ołtarzewskim. Pani Jędrzejowa rada serdecznie z przyjazdu brata; a że w domu jej męża mieszka pani Kunegunda siostra Jędrzeja, wdowa po Ruckim—ot i stadło gotowe, a tego właśnie ukochanemu bratu, imiępanu Janowi Chryzostomowi pani Jędrzejowa życzy. Ale p. Jan Chryzostom nie ma zbyt wielkiej inklinacji do żeniactwa, do wdów zaś abominację czuje; pani Kunegunda zaś jest prawie już po słowie z panem Wojskim—więc, Kundzia ma odegrać rolę panny, a resztę już dokona wola Pana Boga w połączeniu oczywiście z wolą autora.

Lecz dwór Olszowiecki nawiedza kulig. Hucznie, a gwarno, przy strzałach z garlacz i dźwiękach muzyki zjeżdża szlachta krakowska. Przoduje jej pan wojski z dwoma towarzyszami swojemi Zeleckim i Kardowskim, co nie jest jakoś po sercu panu Paskowi, który, jako mazur z krwi i kości, nie chce pozwolić krakowianom przewodzić nad mazurami. Mieszka się więc w tłum rozbawiony, bierze od razu przewagę nad nim, staje na czele par roztąńczonych, muzyce poloneza grać każe i z trzaskiem szabel przewodzi nim wspaniale. I oto posuwisty pług idzie, świecą żupany papuziemi barwami, szczękają karabel ostrza. Bawi się wzrok, słuch a i serce nie mały udział bierze.

Przepyszny tan!

Mistrzem tu pokazał się pan Ładnowski, boć ten polonez w osmaście par prowadzony jego jest układu,—a już cudownie piękna jest figura, gdy pod wianem skrzyżowanych szabel przechodzą w lśniących strojach tancerki.

Pan Wojski uczuł się dotknięty tą impozycją pana Jana Paska. On to kulig urządził i instrumenty muzykantom dał w łapę, tymczasem ten czarniecczyk zadrwił sobie z niego. Rodzi się nawet myśl w zazdrośnym panu Wojskim, że, kto wie, czy ci dwaj pancerni rycerze, nie są konkurentami od wdówki po Ruckim. Przyczynki i odcinki następują, po których muszą skry szczerzać szablę. Walczących rozbrajają przeżalone kobiety, ale pan Kardowski, postać przekomiczna, w łeb dostał, Wojski zaś niewzruszonej nabiera pewności, że zadzierzystych konkurentów ma przed sobą.

Ten akt cały ma dużo w sobie życia i brawury i jest zbudowany doskonale—następne nie posuwają akcyi i—jeżeli nie są bezładną—to są nie-

zręczną płataniną następujących po sobie wypadków.

Z towarzyszami z pod chorągwi Czarnieckiego nie łatwa sprawa. Szablą ich nie odstraszy, bo sam kreskę dostaniesz,—a przecż to dyshonor wielki, dać się od pani Kunegundy odpałantować.—Na to ma poradzić pan Onufry Kardowski,—a rada bardzo prosta. Zawiesić wieniec grochowy na ścianie z napisem: konkurentowi od pani Kunegundy.

Ale ba! Jest ich dwóch,—któryż właściwie z nich jest rzeczywistym konkurentem?

Pan Onufry i na to ma sposób.—Wiesza grochowiny i pisze: konkurentom!

Doskonała to scena, a pełna humoru—szlachta za boki się bierze z dokonanego konceptu, który jednak poznany łatwo został przez pana Paska i Ołtarzewskiego i rozjrzyl ich tylko na niefortunnego adonisa Kundy. Pani Rucka wymawia wojskiemu zazdrość, który, dla upewnienia jej, że brzydkiej tej wady nie ma, na wiadomość o pojawieniu się w lesie daniela, zatrzymywany, już zatrzymać się nie daje i wyrusza na łowy, zostawiając wolne pole towarzyszom pancernym.

Pani Kunegunda gra rolę panny i łatwo podbija kochliwe serce Paska. Na wyrażony przez niego raz jeszcze wstręt do ogryzania kostek pozostałych po nieboszczykach mężach, otrzymuje odpowiedź wdówki, że nigdyby nie wyszła za mąż za kawalera, który niewiastami jak ulegałkami przewracał. Pan Pasek zaklina się, że kocha ją tylko, w rysach jej jednak widzi różne wdzięki bogdanek swych dawnych.

Skwapliwy do miłostek, do żeniactwa niezbyt chętny, tu jednak zostaje pociągnięty nie tylko urokiem rzekomej panny, lecz i myślą odpałenia wojskiego, przez dumę mazurską.

Ale w Olszówce, mieszka jeszcze krewna pani Ruckiej, niejaka pani Tulka z córką Elżbietką. Naiwne dziewczę podbija serce Ołtarzewskiego, który znów zajął Elżbietkę uprzednio wypowiedzianą oracyą do Kundy. Daniel zabity, pan Wojski powraca, ale tu coraz mu ciśnieć, wreszcie grunt się pod nogami usunął. Kapitulować—wstyd! Zwraca się tedy z afektami do Elżuni, lecz drogę tu Ołtarzewski zastępuje. Coraz gorzej! Grochowiny widocznie przeznaczone panu Wojskiemu, grochowiny, które sam upłócił. Ratując więc zagrożoną sytuację zwraca się do matki panny Elżbietki i—no, i zostaje przyjęty.

Wieniec grochowy ma więc spocząć na głowie pacholka pana Paska, umizgającego się do Basi, służącej Remiszowskich.

Ale ba!

Pacholek nie w ciemię bity—Basię od razu sobie zniewolił. Łączą się więc pary i wszystko dobrze.

Pomimo więc słabej kompozycyi, sztuka się podobała i długi czas podobać się będzie. Nie okiem znawcy patrzeć będziemy, lecz uczucie za przewodnika weźmiem, uczucie, które nas w dawne przenosi czasy i daje słodką chwilę, którąbym do snu orzeźwiającego przyrównał.

Zestawiając zatem dwa utwory: Małeckiego i Wołowskiego, ostatniemu pewną wyższość przyznać musimy.—W pierwszym widzimy tylko krotoczwilę z życia szlachty, w drugim oprócz tej samej krotoczwilności, parę podniosłych rysów z charakteru Paska silnie przemawia do nas.—Śliczna jest scena w końcu aktu pierwszego, gdy Pasek rozmilowany w dziewczę, na głos pieśni idącego w bój rycerstwa, wstrząsającym monologiem żegna bogdanę.—To samo powtarza się i w akcie drugim, tylko, że tam—inna już porzuca bogdanę—dla uśmierzenia buntu nieplątnego rycerstwa. Powtórzenie niepotrzebne, osłabiające wrażenie, ale, jak rzekliśmy, rzecz całą kładzie wciąż w kółku, nieprzerwana żadnym nowym wypadkiem.—Do pięknych momentów komedii zaliczyć musimy scenę pojedynku w akcie drugim pomiędzy Paskiem, a jego towarzyszem Jędrzejem Żarembą. Nie właściwym jednak mi się wydaje, (a parę słów uratowałoby sytuację) przerwanie pojedynku przez Jędrzeja, gwołi wypowiedzenia wyrazów, pokonywających zaciętość Paska.—Prawda, że to ni-

by spowiedź przed—śmiercią. Ale towarzysz z pod Czarnieckiego chorągwi nie wiele dba o nią, zresztą z kąd pewność, że stanie się ofiarą Paska? Na dwoje babka wróżyła—kto lepszy w rękę, bój pokazałby dopiero—ale... nie byłoby, rzeczywiście ładnego, dyalogu.—Zawygadane są też, jak na czasy owe, dziewczęta szlacheckie, które w wielu znów razach jako trusie w komedii wychodzą; zanadto też pan Dembowski, bratanek Paska boi się wujcia, i aż za drzewo przed nim się chowa. A przecż to także wojak z pod chorągwi Czarnieckiego.

Jeszcze słowo o języku.

Małecki nie siłił się na odtworzenie języka z wieku XVII—Wołowski chciał go stworzyć. I to mu się niezupełnie udało. Niewłaściwe zastosowania pewnych wyrażen rażą nawet, jak: hetman *spenetruje* pułki i. t. p. Lecz ciepło sztuki, nastrój jej i—znana struna uczucia, pozwoli jej długo się cieszyć uznaniem widzów.

O grze aktorów w Teatrze Letnim nie wspominać—grali wybornie!

K. Gliński.

NA ŁASCE

POWIEŚĆ

przez

M. N. Sas - Junoszę.

(Dalszy ciąg).

XVII.

Upłynęło dwa lata i trzeciego dobiegała połowa. Roman Bronimirski, wraz z księciem Brunonem i Władysławem Krękim podróżował ciągle w dalekich krajach.

Kamilla wyszła za Stanisława Walickiego i zamieszkała z nim na wsi, w jego majątku, daleko od matki, która smutny żywot pędziła w Żarnkach, osamotniona na starość. Przywykła do samodzielnych rządów, nie lubiła nigdy długo przebywać u córki, gdzie do niczego w domu mieszać się jej nie wypadało. Przyjście na świat wnuka pozostawiło ją oziębłą; żadna czułość nuta nie zadrgała w sercu, którego strzegł pancerz samolubstwa... Siłą woli pani Żarnowiecka odzwyczaiła się od córki, tak samo jak dawniej od brata. Zamknięta w sobie, nikomu nigdy się nie przyznała, że czasami—wprawdzie bardzo rzadko—brakowało jej jednej osoby: brakowało jej cichej, spokojnej a przewidującej i dobrej Janiny... Jednak, nie widywała jej wcale i pozornie zdawała się żywić ciągłą urazę do młodej sieroty.

Janina tymczasem zamieszkała we Lwowie przy pannie Olimpii, której pensya pomyślnie się rozwijała. Zaczyna panna Olimpia prawdziwie macierzyńską opieką otaczała młodą sierotę i byłaby z chęcią zawiązywała stosunki, żeby swoją pupilkę prowadzić między ludzi, ale Janina uchylila się od tego. Celem jej jedynym w życiu była praca i tej oddawała się bez wytchnienia.

Z początku, po przyjeździe do Lwowa, po wszystkich przejściach, z powodu których wynikło zerwanie z Romanem, szło jej trudno, tak trudno, że zdawało się, że upadnie pod brzemieniem nad siły. Wyszła jednak z tej próby zwycięsko i w ciągu roku zdała egzamin, który otworzył przed nią możliwość pracowania o własnych siłach. Wiadomości przychodzące z Wasilec przez Władysława, który pisywał do ciotki, najprzód o groźnej chorobie Romana a potem o zamiarach jego towarzyszenia księciu w jego wyprawie, utrudniały Janinie panowanie nad sobą i skutecznie zamyślała. Bóg sam widział ile dni przeplakała a nocy nie spała... Pomimo

to żadna skarga z ust jej nie wyszła i ani przez myśl jej nie przeszło cofnąć powzięte postanowienia. Wyrzekłszy raz stanowcze słowo, uznawała za punkt honoru nie ustępować, chociażby serce miało pęknąć z bólu. Narażoną była na ciężkie walki, nad siły prawie, szczególnie gdy usłyszała o chorobie Romana a była przekonana, że sama obecność jej uzdrowiły by go mogła... Zresztą... kto wie? może on także ma żal do niej; może nie chce jej przebaczyć, że zdobyła się na krok tak stanowczy, że ośmieliła się rozporządzić swoją i jego przyszłością, nie pytając czy on się na to zgodzi?... Może przestał ją kochać? wszystko możebne na tym świecie...

Ale Janina nie pozwałała sobie nigdy długo nad tem wszystkiem rozmyślać; gdy ją napadła tęsknota za tem jedynym dobrem, które miała na świecie, gdy stanął jej przed oczami Roman jak żywy, z wymownym spojrzeniem, ze słowami głębokiej miłości na ustach, zabierała się gorączkowo do pracy, zagłuszając wspomnieniami. Łamała głowę nad rozwiązaniem trudnego matematycznego zadania, suchą nauką odgradzając się od zewnętrznego świata.

Zwolna, gdy mijały dni za dniami, w ciągłej pracy i walce, to, na myśl czego zdawało jej się, że zmysły utraci, łagodniało w jej pamięci; zacierzały się smutne przejścia a zostawała tylko rzewność wielka, wspomnienia chwil szczęśliwych.

I dziś, gdy dwa lata minęły, Janina czuła, że miłość jej dla Romana potężniała z dniem każdym upłynionym zdala od niego; była to miłość, częściej dla tego człowieka, który ukochał ją taką maluczką, biedną i wdzięczną bez granic i miary. Kochała obecnie bez żadnej nadziei, nie spodziewając się, że się mogą kiedy spotkać na świecie, oni oboje, tak dalecy od siebie... I nie tylko tysiące mil ich dzieli, ale najwybitniej to, co ich rozłączyło... dzieli ich położenie społeczne. Ona sama postarała się o tę granicę. Pan Bronimirski jakże bardzo dalekim jest od biednej nauczycielki z pensyi panny Krękiej! A przecież o ile znośniejszem było dla Janiny to stanowisko, samodzielne i uczciwe, od pozycyi jaką zajmowała w domu hrabiny! Nie jest już u nikogo na łasce, nie potrzebuje starać się o niczyje względy, ani podlegać cudzym kaprysom; stanowisko jej, zamiast w błąd wprowadzać ludzi, którzy nie wiedzieli jak mają uważać wychowaną pani Żarnowieckiej — jest wybitne i jasne. Jest tem, czem być powinna i tak zostanie do końca życia! Kiedyś, później, po latach wielu, Janina Strzelicka obejmie miejsce przełożonej zakładu, wyręczając pannę Kręką, którą zapewne siostrzeniec zabierze do siebie, gdy zdobędzie jakąś karierę... Oto jakie były zamiary na przyszłość Janiny, czynione bez zapалу, ale z przeświadczeniem, że tak być musi.

Tak więc płynęło życie Janiny, bez żadnych stosunków z ludźmi, prócz koniecznego zetknięcia z rodzicami uczennic, bez żadnych rozrywek, z wyjątkiem rzadkich i krótkich listów Władysława do ciotki. Listy owe, wyczekiwane z niecierpliwością przez Janinę, przynosiły jej zawsze pewnego rodzaju zawody, gdyż o tym o którymby wiedzieć chciała wzmianki nie było... Niemniej pochłaniała je z gorączkowym zapalem, a wyobrażenia dopełniała resztą.

U Kamilli nawet Janina być nie chciała ani razu, najczulej i najserdeczniej zapraszana przez nich oboje. Pani Walicka jednak kilkakrotnie odwiedziła dawną przyjaciółkę, niezmienna w swoich dla niej uczuciach, co zresztą Janina odczuć musiała z prawdziwą wdzięcznością, nie okazując tego przecież na zewnątrz. Rzecz dziwna! zerwawszy dobrowolnie najserdeczniejsze więzy łączące ją z ukochanym nad życie człowiekiem, Janina od tej chwili stała się jak głaz nieczuła na wszystkie uczucia. Spokojna pozornie, jak dawniej, poważniejsza o wiele, łagodna bardzo, zimną była jak lód, zamkniętą w sobie i niedostępną. Ciałem chodziła po ziemi, wiernie pełniła wzięte na siebie obowiązki, ale dusza jej błądziła daleko, nieobecna, dla ludzi jakby zamarła... Powierzchniowość jej nawet uległa znużeniu: zniknęły zdrowe rumieńce

z twarzy, której nigdy teraz uśmiech nie rozjaśniał; przesłizne oczy zapadły w głąb i zaćmiły się mgłą melancholii, której nic nigdy rozproszyc nie mogło. Wyglądała jak kwiat piękny, rozkwitły z woli Boga ku uszczęśliwieniu ludzi swoim widokiem i barwą, podcięty złośliwą ręką ludzką, więdnący smutnie, pozbawiony barwy i woni, dożywający dni swoich w rezygnacyi i opuszczeniu...

A przecież w życiu ludzkim, chociażby najbardziej odartem ze wszystkich pociech, zdarzają się czasem przelotne chwile, które rzucają na nie jakby ukośne promienie słońca, nie oświecają one wprawdzie, nie zapełniają serca radością bez granic, bez końca, — ale w każdym razie jasnym błyskiem znaczą monotonię bezbarwnej egzystencji...

Dla Janiny, której zdawało się, że nie już żywiej nie poruszy jej serca, przyjazd brata i wiadomość udzielona przez niego, prawdziwym promieniem słońca rozświetliła życie.

Kazimierz się żenił i przyjechał zabrać siostrę na swoje wesele. Przeznaczenie, rzucając młodym chłopcom jak piłką, pozostawiając go o własnych siłach na ciężkie nieraz łamanie się z losem, zgotowało mu w końcu świetną niespodziankę, jakby nagrodę za tyle pracy i wytrwałości.

Kazimierz miał dobrą posadę lekarza w Gratzu i ostatniego lata, korzystając z wakacyi objeżdżał główne zagraniczne zakłady kąpielowe w celu naukowym. Zdarzyło się, że będąc we Franzensbadzie, poznał rodzinę polską, ojca i córkę; ta ostatnia przyjechawszy z porady swego lekarza do wód, zapadła ciężko na zdrowiu, z powodu niewłaściwego użycia kuracyi, która wcale dla niej stosowną nie była. Kazimierz leczył i wyleczył pannę Zofię, która przez wdzięczność nim się mocno zajęła... Ponieważ Zofia na Kazimierzu od pierwszego wejścia silnie uczyniła wrażenie, a ojciec panny nie był wcale przeciwny jej zamiarom, wszystko poszło jak po maśle. Pokazało się przytem, że ojciec Zofii, pan Miałowski, obywatel z Podola, jest człowiekiem więcej niż zamożnym a panna jedynaczką. Nie sprzeciwiano się wcale zamierzonej praktyce lekarskiej Kazimierza, owszem, Zofia nawet bardzo się cieszyła, że będzie panią doktorową i zamieszka w Gratzu.

Tydzień cały Janina przebyła u nich na wsi, na Podolu, była na ślubie brata i wraz z młodą parą wróciła do Lwowa, do swoich obowiązków. Zofia za serce ją chwyciła ładną twarzyczką, miłym usposobieniem i swoim przywiązaniem do młodego męża. Janina odżyła przy nich, ale też smutniej jeszcze jej się zrobiło po ich wyjeździe, smutno, że ich nie widzi; ale myśl, że o Kazimierza może teraz zupełnie być spokojną, napępiała jej serce takim zadowoleniem, jakiego od bardzo dawna nie doznała.

Trzy lata minęło od wyjazdu podróżników. Podróż, która miała trwać dwa lata, przeciągała się w nieskończoność; Władysław pisał do ciotki, że sam nie wie kiedy powrót do kraju nastąpi. Książę nagromadził mnóstwo materyałów i obecnie notatki porządkuje. Zdaje się, że zimę spędzą w Egipcie i chyba z wiosną dopiero o powrocie myśleć zaczną. Przyjechawszy do kraju, Władysław miał zamiar się doktoryzować i starać się o miejsce profesora historii na Uniwersytecie lwowskim lub jagiellońskim w Krakowie. Z listu młodzieńca tchnęła radość pełna zapалу, radość — z powodu nadziei blizkiego urzędywistnienia marzeń...

Janina posmutniała. Nie wraca! Opuścił kraj, ojca, rodzinę, wyrzekł się stosunków, żyje koźowniczym życiem wśród niebezpiecznych nieraz przygód i to wszystko przez nią...

Po raz pierwszy od lat trzech Janinie przyszły podobne myśli do głowy, dotychczas myślała często, że ona była powodem wyjazdu Romana, ale przypuszczała, że przedsięwziął tę podróż dla rozrywki, chcąc zapomnieć... a teraz, ta przedłużana ciągle nieobecność, to ociąganie się z powrotem, nasuwały przypuszczenie, że je-

żeli chciał zapomnieć, to mu się nie udawało. Więc był nieszczęśliwy, nieszczęśliwy przez nią!... Boże! piękną dolę zgotowała temu, którego ukochała nad życie! A ojciec jego, biedny, stary kaleka... jakże smutnie musi być jego życie w pustych Wasilcach! Zaczynając utrzymywać stosunki listowne z Janiną. Po jej zerwaniu z Romanem, sam pierwszy napisał do niej; pełen taktu i delikatności jak zawsze, chciał jej dać dowód, że nie ma najmniejszego żalu do niej; wspominał nawet, że w obec tego co zasłużyła, nie dziwi go zupełnie jej postanowienie. Upoważnił ją przytem do udzielania mu od czasu do czasu wiadomości o sobie.

Kiedy ten list pierwszy był pisany, Roman leżał chory — ojciec więc nie działał pod wpływem syna, ale z własnego natchnienia. Nie potrzebujemy dodawać jak pan Bronimirski ujął sobie tym postępkom Janinę, która korzystając z pozwolenia, pisywała dość często i zawsze na swoje listy odpowiedź odbierała. Wprawdzie, w listach pana Bronimirskiego nie było nigdy ani cienia żalu lub skargi, ale też o Romanie żadnej wzmianki nie było i to milczenie, które Janina teraz sobie przypominała, najwymowniej świadczyło, że ojciec cierpi i tęskni za jedynakiem... a ona temu winna!

Powtórzyła sobie teraz pytanie, czy miała prawo rozporządzić życiem dwóch ludzi!

Z rozpaczą załamała ręce biedna, czując w sumieniu, że tak być nie powinno... Ale cóż miała czynić? jaka była rada? Była tylko jedna: wyjść za mąż... Może Roman tego wyczekuje? To także była myśl nowa; do tej pory Janina nie przypuszczała, że kiedykolwiek przyjdzie jej to do głowy; uważała swoją karierę sercową za ukończoną, a w duchu nazywała się już starą panną. Wyjść za mąż bez miłości, przywiązania, bez przekonania, z inną miłością w sercu, której czas, ani oddalenie nie tylko nie wyrugowały z jej serca ale nawet spotęgowały?... Nie! to nad jej siły! tego w żaden sposób uczynić nie może!

I trapiła się biedna nieustannie, nie mogąc znaleźć rady, gnębiona wyrzutami sumienia.

Miesiące mijały. Spokój z takim trudem wywalczony opuszczał Janinę. Zbliżała się wiosna; listu od Władysława nie było. Chyba przyjadą, jak to zapowiedzieli... Nagle, zamiast jednego, przyszły dwa listy, jeden od Władysława a drugi od pana Bronimirskiego. Władysław donosił, że wybierają się wszyscy trzej z księciem i Romanem na ostatnią już wycieczkę do północnej Afryki i ztamtąd przez Gibraltar stanowczo już wracają do Europy; w kraju nie będą prędkiej, aż może około Lipca...

Pan Bronimirski zaś pisał do Janiny, prosząc usilnie aby wraz z panną Olimpią przybyła do niego, do Wasilec, na święta Wielkanocne. Zapowiadał Janinie, że pani Żarnowiecka z córką, zięciem i wnukiem obiecała mu także swoją bytność, pani Żarnowiecka, która „chce widzieć Janinę,“ — dodał. Nie spodziewając się odmowy, wyznaczył dzień, w którym konie będą czekać na stacyi i godzinę.

Po raz pierwszy Janina została zaproszoną do Wasilec, ale odmówić nie miała zamiaru. Owszem, pojedzie! Uległością swoją da dowód starcowi, jak bardzo wysoko ceni dobroć jego dla niej, tak niezasłużoną... Serce jej będzie pękać z bólu, gdy zobaczy Wasilce; poruszą się wszystkie dawne wspomnienia, wszystkie przykrości doznane odżyją na widok pani Żarnowieckiej... ale znieśli wszystko, przebaczy hrabinie, zdobędzie się na mężstwo, przytłumi ból serca... To jej obowiązkiem w obec starca kaleki stojącego nad grobem, który stęskniony za ciepłem rodzinnego życia, zamiast syna, którego ona na wygnanie wysłała, powołuje do siebie dalszą rodzinę i osoby obce, żeby w ich gronie spędzić uroczyste święta.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZYRODA W POEZJI

przez

ANTONIEGO PILECKIEGO.

W streszczeniu wygłosił autor w d. 25 i 28 Marca w Sali Muzeum Przemysłu i Handlu, jako odczyt publiczny na rzecz ubogich, zostających pod opieką Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności).

(Dalszy ciąg).

Duch Chrystusa zstąpił na ludzkość z wyżyn Golgoty...

I powiał później tchnieniem swej żaloby
Przez pól rozłogi i przez wichrów jęki,
Przez serca ludzkie, przez życie i groby,
Zadumę myśli i przez czar piosenki —

Przez wczesne rano, posępne i mgliste,
Przez wieczór, w nocne chylący się cienie,
Przez młodości żądze wiekuiste,
Przez starości lodowate tchnienie.

Posłał on tchnienie tęsknoty wieczystej w duchy tych, którzy byli w niego zapałzeni. Wskazywał on duchom wyżyny nieskończoności i wieczności, dając im skrzydła, aby w te światy nieznane wlatowały. A powiedział on człowiekowi: Ty synu Boga, a duch twój jest świątynią nieskończoności! W dali zaś, w tej nieskończoności, wskazał mu ojczyznę nadziemską, do której przez drogę życia ma dążyć, nie oglądając się na otaczający go świat zmysłowy, chyba po to, aby znaleźć w nim odbicie myśli Bożej. Wobec blasków życia wyższego, duchowego, ziemia cała przed oczyma człowieka legła w mrokach szarych. Zerwała się nie żywego obcowania duszy ludzkiej z przyrodą, na którą pierwotny chrześcijanin spogląda jako na źródło pokus szatańskich.

Wiara Chrystusa przyszła z ziemi żydowskiej, przyniosła więc z sobą pogląd na przyrodę, jako na podnózek tronu Bożego, jako na objaw potęgi Jego. Wiara ta jednak przemówiła do duszy ludzkiej czarami tajemniczości głębokiej. W niej też, jak powiada słusznie Villemain, zaczyna się poezja świata nowożytnego, poezja zadumy i marzenia, przenikająca do serca człowieka, wyobrażająca jego myśli najtajniejsze i najbardziej nieokreślone pragnienia.

W utworach pierwszych Ojców kościoła, szczególnie greckich, odzywa się religijne uczucie sympatii dla przyrody; pogarda dla niej późniejsza dopiero wzrosła.

Święty Bazyli odczuwał piękno natury nie tylko jako Chrześcijanina — ascety, ale też i przez zachwyt poetyczny; potrafił on uroczy zakątek ziemnej dla jego czarów tylko ukochać, piękno tego odczuć duszą subtelnie wrażliwą i delikatnym pędzlem słowa odtworzyć. Marzycielski jednak głos duszy tego świętego dobiega nas jakby z wyżyn krainy nadziemskiej, pełny poezji i mistycyzmu niebios, pełny tęsknoty o pierwotnej ojczyźnie duchów. Obcowanie z przyrodą nawiązuje nie serdeczną pomiędzy nią a duszą poetyczną mędrca chrześcijańskiego; przez błękity zaś nieba gwiazdowego ducha ta w wieczność spogląda.

Święty Grzegorz Nazyzański przeciwstawia głęboki smutek duszy własnej rozkoszom czarom przyrody. Zbolałe serce jego nie może przyjąć udziału w pieśni radosnej wszechświata. Widzi on obrazy ziemi przez pryzmat zachwy-

tów niebiańskich i tęsknoty do rajów obiecanego, widzi je w ciemnościach... Własną swą duszę porównywa do obłoku, który błądzi i ukrywa się w mrokach i nie pozostawia nawet cienia po sobie, a niespokojne pragnienia tej duszy porównywa do potoku wód mętnych, który wciąż od nas odbiega, a przez który dwa razy przejść nie możemy, gdyż nie ujrzymy go nigdy takim, jakim wcześniej oglądaliśmy.

Święty Grzegorz Nysseński smutniejszym jeszcze wzrokiem patrzy na oblicze natury. Na skrzydłach ptaków, wichrów, lub obłoków duch jego wznosi się na wyżyny, zkad każdy obraz przyrody w kirach ogląda, a każdy głos od świata zewnętrznego budzi na strunach wrażliwej jego duszy tony bezmiernej tęsknoty i melancholii. W naturze widzi ten święty dzieło mocy Bożej i wysławia w niej Boga podniosłym tonem Pisma Świętego.

Wszyscy wymienieni Ojcowie kościoła znali poezję klasyczną, więc echo jej w pieśniach ich rozbrzmiewało, lecz głos tego echa rozplywał się w smutkach Golgoty i w tęsknocie ascetyzmu.

Z czasem, gdy ciemnota umysłowa rzuciła mroki czarne na oblicze Wieków Średnich, w posępnym fanatyzmie ascetycznym zaginęło poczucie piękna natury. Od czasu do czasu tylko gdzieś tam światło jakie w mrokach tych zabłyśnie.

Przyroda jest jednak, według pojęć Chrześcijanina średniowiecznego, dziełem Boga, dziełem Jego mądrości najwyższej, jest więc piękna i wzniosła, stokroć piękniejsza i wzniolejsza od dzieł ręki ludzkiej. Święty Jan Złotousty radzi tym, których zachwycają budynki wspaniałe i kolumnady wyniosłe, ażeby, odwróciwszy od nich oczy, spojrzeli raczej na sklepienie niebios, na obszary pól, gdzie się pasza stada na brzegach jezior. „Z pogardą“ — mówi dalej ten sam mąż święty — „spójrzy człowiek na wytwory sztuki, gdy ze spokojem w duszy ujrzy słońce wschodzące, które przelewa na ziemię blask purpurowy; gdy, spoczywając na trawie bujnej nad brzegiem strumienia, lub pod cieniem gęstych liści drzew, utkwili wzrok w rozległej, niknącej we mgle przestrzeni.“

Łacīńscy Ojcowie kościoła pierwszych wieków ery chrześcijańskiej nie posiadają tego głębokiego uczucia smutku, który powiał na łany tej ziemi z wyżyn Golgoty. Liryka ich zachwyca się także przyrodą, jako tworem Bożym; liryka ta wznosi się również ponad lirykę klasyczną przewagą pierwiastku duchowego; utraciła jednak wiele bezpośredniego odczucia i ukochania przyrody. Przyroda w niej traci swój byt samostanny, podpadając pod władzę wyższych, nadziemskich ideałów, stając się, jak mówi Ebert, „wyrażeniem symbolicznym świata moralnego.“ Św. Hilary w jednym ze swoich hymnów uważa się za niegodnego podnieść oczy grzeszne ku jasnym gwiazdom nieba i żywa wszystkie twory: niebo i ziemię, morze i rzeki, wzgórza i pola, róże, lilje i gwiazdy błyszczące, aby z nim razem płakały i bolały nad grzechem człowieka. We wschodzącym świetle dnia, przed którym uciekają cienie nocy, widzi ten święty symbol Chrystusa, rozpraszającego światłem prawd swoich mroki pogaństwa.

Inny znów pisarz łaciński, Prudencjusz tonem pieśni podniosłej woła: „Noc, mrok, mgła rozpraszają się, światło się zapala i wszystko naokół oświeca... Chrystus idzie!“

Święty Augustyn szuka schronienia dla swoich bólów ziemskich w takim zaciszu, do którego by nawet promień słoneczny nie zajrzał, szuka schronienia tego nie dla piękności przyrody, a dla ucieczki przed życiem ziemskim. Ogląda on w naturze oblicze Boga; Bóg ten jednak nie żyje w samej przyrodzie, a ponad nią, jako jej Stworzyciel. Obliczem Boga w naturze jest Jego myśl twórcza.

W dobie późniejszej, już na progu nowej ery w dziejach duchowego rozwoju ludzkości, na krótko przed poetami Epoki Odrodzenia, odezwała się pieśń religijna św. Franciszka z Asyżu głębszym, serdeczniejszym odczuciem przyrody.

Chwaląc Stwórcę w dziełach Jego, natchniony ten kapłan odczuwa piękno w tem, co dłoń Boga stworzyła, odczuwa je w słońcu — promiennem, które dzień jasny sprowadza na ziemię, w księżycu, w gwiazdach, które Bóg rozsypał na niebie, jak ziarnka na roli, w wichrach, w powietrzu, w chmurach, w wodzie, — napęniającą źródła, rzeki i morze, w ogniu, który przyswieca mrokom i nocom ponurym, w ziemi, która nas żywi i nosi na sobie, która wiosną ściela nam kwiaty pod nogi, a w lecie i w jesieni owocem soczystym karmi nas i poi. Poeta ten odczuwa w żywiołach coś pokrewnego człowiekowi, coś żywotnego mu i bratniego. Ziemia jest mu matką, słońce i wicher braćmi, księżyc i woda siostrzycami. Jednym obliczem swego istnienia patrzą one na padół ziemski, drugim w niebo — w twarz Boga. Słońce jest niejako wyobrażeniem Stwórcy; gwiazdy są czyste i świetlane, aby mogły w oblicze Przedwiecznego spoglądać, wody przed nim nisko ścielą się w pokorze; a wszystkie poddane są woli Bożej na pożytek ludzi.

Gdy zagasło słońce świata starożytnego nad Wiekami Średnimi, kilkuset lat trzeba było czekać, nim ożyło na nowo w literaturze europejskiej szersze, głębsze odczucie przyrody. Walczył wprawdzie z upadkiem poezji duch klasyczny w odczuciu piękna u niektórych pisarzy, niezupełnie przejętych kulturą chrześcijańską, jak Apolinariusz Sidonius, Kassiodorus, Wenancjusz Fortunat, zazwyczaj jednak wpadał w retorykę napuszystą, aż wreszcie utonął w dydaktyce suchej. Pisma trzech wymienionych wyżej autorów tworzą skromne, niepozabawione zieleni oazy na olbrzymiej pustyni twórczości poetycznej. Napotykamy tam niekiedy dość żywe wizerunki przyrody i serdeczniejsze jej odczucie. Niekiedy też z pustelni zakonnicych wzrok pobożny wybiega na szerokie obszary pól i lasów, niekiedy modlitwa mnicha rozplywa się w zachwycie serdecznym; uczucia tego jednak w wiekach ciemnoty nie mogła zapłodnić żywsza myśl twórcza; zdołało ono zaledwie stworzyć idyllę słodką.

Rycerze, którzy poszli na Wschód w czasie wojen krzyżowych, nie przynieśli z tamąd z sobą w duszy czarów przyrody, na odczucie których nie byli duchowo przygotowani. W opisach swych chwalą więcej bogactwo i żyźność pól, niż wdzięk krain uroczych.

Nie znajdujemy głębokiego odczucia przyrody w eposie „Nibelungi“, ani w utworach minnesingerów, ani w całej nadwornej eposie rycerskiej. Żywiej nieco drga to odczucie w pieśniach trubadurów prowansalskich, którzy umieli nieraz zestawiać zjawiska natury z uczuciem serca ludzkiego, upatrując w nich niekiedy symbole życia duchowego człowieka. Byli to śpiewacy miłości, lekkiej, zmysłowej, płonącej w słońcu południu. Pod wpływem tego uczucia często w pieśni ich wesoły maj rozkwita, radością i śpiewem świat napęniając. Bez miłości dni majowe są dla nich nudne, ani ich „luby ptaszek gwar“ weseli. Tęsknota miłosna biegnie ku ukochanemu na skrzydłach ptaka. Orzeźwia tych śpiewaków zdrowy, jedyny oddech przyrody, gdy tymczasem w pieśni minnesingerów niemieckich natura oddycha stęchlą wonią mięką, chorobliwej melancholii. Jeden np. z tych poetów po utracie ukochanego rozwodzi jęki w gaju i porównywa los swój do losu słowika, któremu „nie w gaju nie zostanie, tylko własny głos.“

Poza poezją trubadurów, wszędzie brak miłości dla przyrody, brak siły indywidualizmu w jej odtworzeniu. Pola, łąki, kwiaty i słowiki stanowią martwą dekorację utworu. Jeden tylko Gottfried von Strasburg żywiej opiewał miłość w związku z odczuciem przyrody, miłość, rozkwitającą w uściskach wiosny, upojoną jej wonią, rozradowaną pieśniami słowików.

Na baczniejszą też uwagę zasługuje pieśń Ulricha von Lichtenstein, która wyróżnia się od melancholijnej pieśni niemieckiej tonem radosnym miłości szczęśliwej, a na obrazy przyrody rzuca światło jasne, wesołym śpiewem ptaszek

napełnia lasy i gaje, ukwieca pola i rosą je orzeźwia.

Żywsze odczucie przyrody przechowało się w pieśni gminnej niemieckiej, od której, jak mówi Heine, płynie woń lip ojczystych. „Lipa” — mówi dalej ten sam poeta — „gra główną rolę w tych piosnkach. W cieniu jej wieczorem rozmawiają pary kochanków. Ona jest ich ulubionym drzewem, może dlatego że liść lipowy ma kształt serca ludzkiego.” Dodam od siebie, że nawet w legendach mitologicznych starej Germanii puklerz lipowy ważną odgrywa rolę. W pieśniach ludów germańskich drga gorące umiłowanie przyrody ojczystej: odzywają się w nich ukochane dźwięki rogu alpejskiego, zapachy zbóż od nich płyną, skrzydła ptasząt trzepoczą się w ich dźwiękach.

Lud najbliższy zawsze zbliżał się do przyrody, odczuwał ją może nie tak subtelnie, jak inteligentniejsze sfery społeczeństwa, ale za to żywiej, a, co ważna, nici serdecznego związku z naturą nigdy nie gubi, zawsze ona w sercu jego tkwi, zawsze przez nią prądy odświeżających wrażeń do duszy spływają.

Gdy zwrócimy się do przeszłości, to w poezji starogermańskiej, w sagach skandynawskich, w księdze religii dawnych Skandynawów, Eddą nazwanej, znajdziemy pierwotne, bujne życie przyrody, potężnej w wielkich ewolucjach żywiołowych, w siłach olbrzymich, mitologicznych, wcielających się w bóstwa. A siły te, przy ogromie swoim, posępne są i dzikie, jak skały północy, jak ten prarodziec bogów — Bur (Bör), którego przedwieczna krowa z bryły lodu wylizła. Fantazja ludu dała tym potęgom natury życie ludzkie, a właściwie nadludzkie, życie bohaterów — bogów, posępnych, jak niebo północy. Bywają w tej przyrodzie siły, drgające współczuciem żywym dla człowieka, symbolem uczuć jego szlachetniejszych, jak np. święty jesion Iggrasill, z którego, według słów Eddy, rosa na dolinę ocieka, jak jemiola, z której zmartwienia serca wyrosły i w której żyje dusza ludzka, płacząca nad zgonem dobrego bohatera — Baldera.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z bieżącej chwili.

— Ministerium oświaty, wyjaśniło, że żydom i kobietom, pragnącym składać egzamin z edukacji domowej prawo to przysługuje na równi z wychowancami gimnazyów i progimnazyów żeńskich.

— Pewne grono nauczycielek prywatnych poruszyło projekt wzniesienia pomnika Stanisławowi Jachowiczowi. Fundusz potrzebny inicjatorce projektu mają już zapewniony. Urzeczywistnienie projektu nastąpić ma dopiero wówczas, gdy zamierzone urządzenie placu zabaw dla dzieci w parku miejskim przy ul. Polnej dojdzie do skutku, ten bowiem plac byłby najodpowiedniejszy na wzniesienie pomnika dla „przjaciela dzieci.”

— W Warszawie projektowane jest otwarcie szkoły handlowej wyższego typu. Nad proje-

ktem tym pracuje grono osób ze sfer handlowych i przemysłowych. Podanie o koncesję wniesione ma być wkrótce do władzy wyższej.

— Komitet zajmujący się wzniesieniem pomnika ś. p. Jędrzejowi Śniadeckiemu w kościele p. p. Wizytek na Krakowskim-Przedmieściu, powierzył roboty artyście rzeźbiarzowi Piusowi Welońskiemu, który zobowiązał się wykonać je za sumę 1,200 rs.

— Ministerium oświaty poruszyło ponownie projekt wprowadzenia niektórych zmian w obowiązującym dziś programie nauk w średnich zakładach naukowych w tym kierunku, ażeby główny nacisk spoczywał na ogólnym wykształceniu.

— W ministerium oświaty poruszony został projekt, ażeby wykłady i egzamina we wszystkich niższych i średnich zakładach naukowych rządowych kończyły się z dn. 1-ym maja st. st., a na nowo rozpoczynały się nie wcześniej niż dnia 1-go września st. st.

— We Lwowie zawiązał się komitet, który postanowił w setną rocznicę rozpoczęcia wykładów chemii na uniwersytecie wileńskim przez Jędrzeja Śniadeckiego ustawić biust znakomitego chemika w przedsionku instytutu chemicznego uniwersytetu lwowskiego i urządzić uroczyste odsłonięcie tego pomnika.

— Liczba ociemniałych na całym świecie wynosi około miliona t. j. 1/1,500 część ludzkości pozbawiona jest dobrodziejstw światła. Najwięcej ociemniałych liczy Egipt i państwo rosyjskie. W Anglii na milion mieszkańców przypada 870 ociemniałych.

— Stan zdrowia Adama Asnyka pogarsza się z każdą chwilą; ubytek sił szalony, gorączka ciągła i wychudzenie nadmierne.

— Lombard miejski w Warszawie obchodził d. 2-go b. m. setną rocznicę swego istnienia. Z powodu tego jubileuszu spisany został a następnie złożony w archiwum miejskim odpowiedni akt. Lombard ten otwarty został d. 2-go Lipca 1797 r. na mocy dekretu króla pruskiego Fryderyka Wilhelma III. Pierwotnie mieścił się w pałacu Kazimierzowskim, następnie przeniesiony został do gmachu ratusza staromiejskiego, a ztąd w r. 1817 do nowego ratusza. Kapitał lombardu wynosi obecnie 507,958 rubli 17 kop.

— Ogólna suma składek na pomnik Adama Mickiewicza wynosiła w d. 5-ym b. m. 171,338 rs. 41 kop.

— Pani Ludwika Morykoni, główna opiekunka i założycielka zakładu dla ubogich dziewcząt bez opieki pod wezwaniem Św. Małgorzaty, ofiarowała dom swój w Piasecznie na użytek pomienionego zakładu. Wskutek tego wychowanki z dotychczasowego pomieszczenia przeniesione zostaną wkrótce do nowej siedziby.

— Na międzynarodowy kongres lekarski w Moskwie zapisało się dotychczas przeszło 3,000 uczestników, w tej liczbie 2,000 przypada na lekarzy cudzoziemców.

MYŚLI.

Jakieżto życie wabi bohatera?
Rzuca się w ciernie, miecze i trucizny;
Tylko mu walka próg chwały otwiera,
A właśnie walka żywiołem mężczyzny.

Jakież zaś życie lubem dla poety?
Ach! on samotny, z pochylonem czołem
Cisza i praca są jego żywiołem,
A takim właśnie jest żywioł kobiety.

Życie mężczyzny powinno być czynem,
Życie kobiety powinno być pieśnią.

Mknie gwiazda za gwiazdą w eterów przestroni
Mknie chmura za chmurą na niebie Ossjana,
Mknie fala za falą a Wisła się toczy,
Mknie dusza za duszą a każda splakana.

Pokochaj sztukę a dotrwasz jej wiernie,
Epoka pracy, wolne lat wysnucie
Całej przyszłości otworzy ci wrota.
Próżno mechanizm chce zabić uczucie —
Jeśli uczucie twe ma stałość złota
Jeśli cel znojęw zawsze ci jest luby:
Wyjdiesz zwycięsko z wszystkich ogni
[pr]

Przyszłość oddajcie kobiecie
Za całą przeszłość straconą.

W książkach — to największe cudactwa po
kają chciwie; byle drukowane, to już wie
a kiedy człowiek opowiada, co przeżył os
ście, na co patrzył własnymi oczyma — to k
głową, nigdy nie dosyć dowodów.

Grom rzadko pada w krzaku, w dolinie,
Bije on w cedry lub w boży dom...
Piorun więc chlubnym jest z niebios posła
Kiedy jedynie
To, co jest wzniosłem
Przyciąga grom!

Nie mów, młodzieńcze! że zemsta cię nie
ciąga — o! to wielka rozkosz! choćby dla mo
ści przebaczenia. To nie sztuka nie mścić
dopóki nie wiesz, kto cię skrzywdził — ale
dzieć i nie szukać zemsty — a! to zasługa i
wewnętrzne zadowolenie.

Gdybyśmy pilnie badali tysiące drobn
wskazówek, zrozumielibyśmy, że stosunki z
nemi światami nie są tak zupełnie zerwane,
się na pierwszy rzut oka wydaje.

Deotyma.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczy” do
się: arkusz 2-gi T. II, powieści p. t. *Marz*
przez Flor. Marryat. Przekład z angielski

Treść: Potęga i zadanie wychowania, przez Janinę S. Aleksotę. — Vita nova, przez A. Langego. — Ostatnia prośba, przez Szczepanę. — Teatr, przez K. Glińskiego. — Na łasce Powieść przez M. N. Sas-Junoszę (dalszy ciąg). — Przyroda w poezji, przez Antoniego Pileckiego (dalszy ciąg). — Z bieżącej chwili. — Myśli.

Dodatek obejmuje: *Marzenie*, powieść przez Flor. Marryat. Arkusz 2-gi T. II. Przekład z angielskiego. — Przegląd mód. 36 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycje obiadu.

Warszawa. — W Drukarni i Litografii Tow. S. Orgelbranda Synów, Krakow.-Przedmieście Nr. 66.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 2 Іюля 1897 г.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.